



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Kobiety historyczne. — Dawne piosnki (wiersz). — Umarła, przez Oktawiusza Feuillet (dal. ciąg). — Rycerz Mora (dal. ciąg) — Odczyta Jerzego Brandesa o romantyzmie polskim. — Józef Bohdan Zaleski — Korespondencya z Paryża. — Rozmaitości. — Z prasy humorystycznej. W Dodatku: Prawdziwa miłość. (arkusz 4).

KOBIECY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

THÉROIGNE DE MÉRICOURT.

Prawda to odwieczna i niewątpliwa, że jak nie ma nic lepszego nad dobrą kobietę, tak trudno o coś gorszego niż zła niewiasta. Zdanie to znajdujemy już w najdawniejszych zabytkach pismienych rodzaju ludzkiego, na papyrusach egipskich, w księgach bramińskich, chińskich i hebrajskich, w Biblii i u Homera, a cała historia ludzkości i doświadczenie codzienne stwierdzają prawdziwość tej maksymy. Zaprawdę nie ma takiego poświęcenia, zaparcia się siebie, ofiarności i bohaterstwa, jednym słowem nie ma żadnej cnoty, posuniętej niemal do ideału, do której nie byłaby zdolną kobieta zacna. Istotnie też historia i życie przedstawiają niemało takich świetlanych, idealnych postaci niewieścich, czy to na tronie i wśród

najwyższych warstw społecznych, czy w nędznej chacie lub klasztorze.

Z drugiej strony, dzieje potworności i zbrodni wykazują pewną ilość postaci niewieścich w świetle przerażającym, i jak kobieta zacna zdolną jest, jak mówi poeta, „prześcignąć anioły”, tak znowu wstrętna magera niejedna chyba dorówna szatanowi.

Niebył to jeszcze dawna, krwawa epoka wielkiej rewolucyi francuskiej, stanowiąca ostatni dotychczas najważniejszy przełom w dziejach nowożytnych. Szalone nadużycia dworu francuskiego i klas panujących wywołały groźny ów rokosz klas niższych, ale hasła swobody i wyzwolenia, piękne idee braterstwa i równości, wygłoszone w początkach owej rewolucyi w roku 1789, utonęły prędko w krwawym potoku nadużyć i szalonych orgii. Miejsce tyranii klas wyższych, zajęła nielepsza bynajmniej tyranja motłochu, a raczej jego przywódzców: burząc gwałtownie dawny porządek państwowy i społeczny, a głosząc swobodę, równość i braterstwo, straszliwi republikanie owczynie zabrali się do uszczęśliwienia swego narodu przemocą i jeli machać na wszystkie strony krwawym strychulcem.

Gilotyna zmioła głowy króla Ludwika XVI i jego rodziny, tysięcy arystokratów lub przyjaciół arystokracji. Niejeden zginął za to tylko, że nosił cienką bieliznę lub używał przy swem na-

zwisku arystokratycznego dodatku „de”. Inni dali głowy za to, że ubolewali nad świętymi lub kiedyś zostawali z nimi w przyjaźni. Groza i rozpasanie rozsiadły się w Paryżu w latach 1792 do 1795, aż wreszcie sami rzekomi dobroczyńcy swego narodu i ludzkości, zaczęli mordować się i gilotynować nawzajem, aż w końcu cała ich budowa runęła w gruzy chaotyczne...

W takich to czasach straszliwych, obficie występowały owe demoniczne natury kobiece, o których wspomnieliśmy powyżej. Były to, oczywiście kobiety z gminu, które teraz brały odwet za dawne upokorzenia i niewolę ludu. Niedawno jeszcze przedtem damy wielkiego świata, upudrowane, szleszczące jedwabiami i lśniące klejnotami księżne i markize, puszczały wodze swym namiętnościom i pozwalały sobie wszelkich nadużyć: ale zmieniły się czasy. Piękne panie uciekały lub ginęły pod gilotyną, a miejsce ich zajęły przekupki paryżkie i kobiety z ludu. Zawieść i nienawiść względem bogatszych i możniejszych, pragnienie zemsty oraz właściwe namiętnym naturom zadowolenie ze спустoszenia i ruiny, jednym słowem najgorsze instynkta natury ludzkiej wylały się w rozpasaniu bez granic. Kobiety nawet wodziły rej w szalonych tych orgiach motłochu, jak np. w dwukrotnym napadzie na rezydencję królewską (1792 r.) i całym szeregu zaburzeń ulicznych. Tłumy rozbawionych kobiet oblegały salę posiedzeń stra-

szliwej konwencji. Domagając się głowy tego lub owego ze „zdrajców ludu”, żądając darmo chleba lub narzucając prawa owemu najwyższemu zgromadzeniu. Przekupki paryżkie (*les dames aux halles*), po większej części stare i brzydkie, jak owe czarownice w szekspirowskim Makbecie, okazywały się najzacieklejszymi terorystkami. One to najgłośniej wrzeszczały na zbiegowiskach, one biegły za wieszonymi na śmierć niewinnymi ofiarami gilotyny, wygrażając im pięścią i złorzecząc, lub słały za nimi przekleństwa, siedząc przy swych straganach z pończochą w ręku (z tą historią nadała tym wstrętnym megerom miano *les tricoteuses* pończosznice.)

Prąd czasu porywał ze sobą natury namiętne, okoliczności rozdmuchiwały złe instynkta. Niektóre jednak z tych „meger” miały pobudki osobiste, które je popchnęły w wir wypadków. Do takich właśnie należała Théroigne de Méricourt, sławna z piękności, zwana przez jednych „wścieklą megerą”, przez innych „najdzikszą heroiną” wielkiej rewolucji. Niektórzy zapaleni jej zwolennicy porównywali ją z bohaterkami starożytnego świata, jak np. z bajeczną Pentezileą, królową Amazonek, która ongi pod murami Troi walczyła z samym Achillesem; inni widzieli w niej nową Dziewicę Orleańską, gdyż i Théroigne, podobnie jak Joanna d'Arc, chciała wyzwolić i ocalić ojczyznę...

Na tem jednak kończy się podobieństwo obu tych postaci, podobieństwo zaiste niewielkie, gdyż i wartość moralna i środki działania obu bohaterek były zupełnie odmienne... Co najwyżej można by dodać jeszcze to tylko, że i Théroigne była dzieckiem ludu, jak Joanna i że „dzika heroina” okazywała niekiedy taką samą energią, jaka odznaczała świetlaną postać dziewczicy z Damremy.

Anna Józefa Lambertyna Théroigne przyszła na świat w Méricourt pod miastem Liege (dziś w Belgii) pomiędzy rokiem 1759 i 1762. Była dzieckiem łopoliwych wieśniaków; głośną zaś swą rolę i burzliwe przygody życia zawdzięczała swej niezwykłej piękności. Wysoka i majestatyczna, o kształtach cudnie harmonijnych, miała rysy posagu greckiego i cudne czarne oczy. Gdy miała lat siedmnaście, wpadła w oko jakiemuś młodemu paniczekowi z sąsiedztwa. Dziewczyna pokochała go prawdziwie i namiętnie, a on... (stara to znana historia) niebawem porzucił ją znudzony. Zostawszy pośmiewiskiem rodziny i znajomych, biedna dziewczyna uciekła z ojczyzny i oparła się aż w Londynie. Jej piękność zajaśniała w stolicy Anglii takim blaskiem, że podobno hołdował jej nawet sam książę Walii, następca tronu, ów „pierwszy dżentelman Europy”. Théroigne zawiązała tu stosunki z wielkim światem i zaczęła kształcić swój umysł czytaniem książek poważnych i obcowaniem z ludźmi światłymi. Poznała tu także bawiącego chwilowo Filipa, księcia Orleanu, ojca późniejszego króla Francuzów, Ludwika Filipa.

Odgłos zdumiewających świat cały wypadków paryżkich powołał Annę Józefę do Paryża. Pierwsza młodość już była przemineła, Théroigne dobiegała, niestety, trzydziestki; pomimo to, słynęła jeszcze z piękności, a gdy rzuciła się w wir rewolucji, zapal jej i energia budziły podziw powszechny. Brała udział we wszystkich wypadkach społecznych i nieraz była przywódczą tłumów ludowych. Ubrana w niebieską, sukienną amazonkę, w kapelusiku męzkim *à la Henri IV*, z nieodstępna w ręku szpicrutą, szła z tłumem zdobywać Bastylię lub uprzętać broń i działa z arsenału, uczęszczała na posiedzenia zgromadzenia narodo-

wego i klubów republikańskich, gdzie wygłaszała ogniste mowy. Za szturm Bastylii otrzymała od ludu szablę honorową, a klub Kordelierów obrał ją swym członkiem.

Gdy przemawiała raz w klubie, zachwyceni słuchacze nazwali ją „mądrą królową Saby.”

— Tak jest — zawołała Théroigne, podchwytną to porównanie biblijne — przybywam do was, jako królowa Saby do Salomonów. Obyście, jak Salomon, zbudowali świątynię swobody! Oto mój wniosek: plac Bastylii jest pusty, a sto tysięcy robotników jest bez chleba, wybudujcie więc na tym placu gmach posiedzeń dla zgromadzenia narodo-

wego! Niech kraj cały pospieszy ze składkami, niech kobiety złożą swoje klejnoty na ołtarzu ojczyzny: ja pierwsza to uczynię...

Nie urzeczywistnił się jednak ten wniosek zapalnej republikanki.

(Dokończenie nastąpi.)

DAWNE PIOSNKI.

Tajemnicze jakieś dźwięki,
Dziwnej słychać się piosenki...
Znam je, znam je z dawnych lat.

Kędy Wisła hoża płynie,
Raz jechałem na wicinie,
Ja i Jędrzej, Stach mój brat.

W lat zaraniu wtedy byłem,
Całą piersią, sercem żyłem,
O! nie znałem co to żal.

Tam póję w tany w dźwięk skrzypicy,
Spodobać się krasawicy,
Złapać wianek z rącznych fal...

Tylko sercu było miło,
Lecz niedługo tak się żyło,
Ktoś mnie przeklął nie wiem sam.

Popłynąłem na wicinie,
Kędy Wisła hoża płynie,
Ileż smutków było tam!

Lecz przeżyły się te troski,
I nie ujrzę już tej wioski,
Gdzie mnie pierwszy spotkał żal.

Teraz pusto w moim łonie,
Gdy nie słyszę piosenki w stronie,
Co tak rzewnie płynie w dal.

Bo to dźwięk tak sercu miły,
Drogie kryje mi mogiły,
Mniejsza o to jużem dziad!

Teraz bawi mnie fajeczka,
Czasem w karczmie z żydem sprzeczka,
Oj to łajdak pal go kat!

Kędy Wisła hoża płynie,
Raz jechałem na wicinie,
Ja i Jędrzej, Stach mój brat...

Ha, co bając o przeszłości,
Czyż nie dosyć już żalości,
Toć ma piosenka z dawnych lat!

Konrad Packiewicz.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

Dziwna rzecz! Jakkolwiek ten misjonarz nauki i wolnej myśli, w przekonaniu pani de Vaudricourt mógł być tylko rodzajem niebezpiecznego nihilisty, przecież mimo to polubiła go bardzo a i doktor Tallevant pomimo swoich religijnych uprzedzeń cenil bardzo swoją sąsiadkę arcy-katoliczkę. Wprawdzie pan Tallevant unikał starannie wobec Aliety najlżejszego słówka mogącego razić religijne jej wierzenia i tylko z Bernardem swobodnie rozmawiał, poznawszy wprzód, że jest równym mu wolno-myślicielem.

Gdy Sabina czasowo przebywała w pałacu, opiekun jej często przychodził tam na obiad i najczęściej wracał do siebie piechotą. Pan de Vaudricourt odprowadzał go często do połowy drogi. W ciągu tych częstych i długich sam na sam, rozmowy ich stawały się coraz poufniejsze, przyjaźń coraz ściślej. W tych pogadankach swoich, niejednokrotnie rozbiegali kwestyę religijną i Bernard zadziwił się, że mówiąc o tym przedmiocie, pan Tallevant nie uciekał się do wolterowskich drwinkowań, nie unosił gburowatą zapalczywością antyklerykalną. Mówił o tem łagodnie, poważnie i z uszanowaniem, jak człowiek wyższego umysłu, niedający się porwać jakiejś nienawistnej namiętności. Mówił nawet z pewnem przejęciem religijnem, bo miał swoją wiarę, a że była szczerą i gorącą, unosił się niekiedy zapalem apostołowania. Pod względem religijnym nie dopuszczał indyferentyzmu i starał się przedstawić to Bernardowi.

Według pana Tallevant, jeżeli ktoś utracił wiarę w ideał chrześcijański, nie powinien przynajmniej wyrzekać się jakiejś idealnej religii, jeżeli nie chce powoli spadać do zezwierzęcenia... Człowiek wyższego urodzenia, poprzestający na tem, że w nie nie wierzy, może jeszcze być czas jakiś powstrzymywany oddziaływaniem pierwotnego wychowania i zewnętrzną konwencyonalnością swej towarzyskiej sfery; jednakże w rzeczywistości poczucie obowiązku i godności moralnej, jako żadnej niemające podstawy, zaciera się w nim coraz silniej, a jedynym jego celem życia, stają się łatwe, poniżające rozkosze... I tak, pod cywilizacyjnym polem, spada stopień po stopniu do moralnego poziomu murzyna, a im więcej posuwa się w lato, tem upadek ten jest głębszym i wstrętniejszym... Nawet umysł i pojęcia jego obniżają się i ściśnia-

ją; pod względem umysłowym zajmują go tylko rzeczy błache, powierzchowne, poniekąd materialne... Nie czytuje nic prócz romansów i dzienników, pod względem przedstawień teatralnych, podobają mu się tylko utwory podrzędne, przemawiające jedynie do zmysłów... Przysnaj sam, kochany przyjacielu, że są to dzieje ludów, utracających wszelką wiarę w ideał!

— Tylko poczucie religijne i wiara w ideał, mówił dalej, mogą natchnąć człowieka wolą, siłą i zamiłowaniem do szlachetnego spełniania swego zadania, przez poświęcenie swego życia kultowi dobra, prawdy i piękna a każdy rozumny człowiek może dojść do tej idealnej wiary, przez badanie przyrody, to jest przez naukę. Przez naukę też pan Tallevant zdołał wznieść się do tej wiary, podtrzymującej go w ciężkiej pracy naukowej, będącej zarazem dziełem propagandy: gdyż nauka to popycha go do pełnienia dobra, jakie roztacza w koło siebie.

I wymownie i podniosłym stylem tłumaczył Bernardowi jaką jest owa jego filozoficzna religia, my poprzestaniemy na krótkim streszczeniu jego teorii.

W ciągu długich swoich badań naukowych, pan Tallevant wyrobił w sobie przekonanie, że boskie dzieło kreacji nieskończenie kontynuuje się w świecie; że każda istota rozumna może z swej strony przyczyniać się i poniekąd współpracować w tym dziele udoskonalenia i progresyjnej harmonii, że jest to obowiązkiem każdego, a czyste jego spełnienie i przekonanie, iż dopomaga do wzniesłego celu, powinno być nagrodą i rozkoszą życia.

— Ależ, doktorze, czyż możesz obiecywać sobie, że zdołasz nawrócić do twojej religii filozoficznej całe masy, słowem lud? Nie ujmuję jej wzniosłości, ale przyznasz, że wymaga wyższego ukształcenia umysłowego.

— To też nie ludzę się tem bynajmniej, a zresztą nie jest koniecznem. Dość będzie nawrócić najprzedniejszą część, a wybrana ta część tak kiedyś spotęnieje, że zapanuje nad tłumem i zniewoli ją do spełnienia obowiązku, siłą moralną lub przemocą.

— Wiesz co, doktorze — zawołał Bernard — jesteś strasznym arystokratą.

— Nie przeczę. Czyż miałeś mnie za demagoga, dlatego, że się oddałem nauce? Dziwna to myśl a mimo to bardzo rozpowszechniona, choć najzupełniej sprzeczna z prawdą. Nauka jest przyrodzoną nieprzyjaciółką demokracji, ponieważ z natury swej jest wrogiem ciemnoty, a więc jeszcze mierności... Wszak demokracja może tylko nieumiejętnych podnieść do mierności, a straszny to postęp!... Co do mnie, lituję się nad słabymi, ciemnymi i nędznymi, ale nigdy, nigdy nie będę schlebiał ich namiętnościom i nie ulegnę ich przewadze.

— Wierzaj mi przyjacielu — dodał po chwili, wracając do swych pojęć religijnych, że jest to błogość niewysłowiona czuć się w prawdzie i że tak powiem, krok w krok postępować za Przedwiecznym, dopomagając do jego wielkiego dzieła. Co do mnie napawa mnie to niebiańska pogoda myśli, którą jedynie zakłóca niekiedy obawa, czy zdołam doprowadzić do końca dzieło, któremu poświęciłem życie.

— Skądże znów taka obawa; jesteś w sile wieku, kochany doktorze.

— Zapewnie, ale... *Ars longa, vita brevis*... A potem, głowa czasem nie domaga i serce mam

za duże... co zniewala mnie ograniczać godziny pracy... To jedyne moje zmartwienie.

VII.

Tegoż wieczora w którym doktor Tallevant i Bernard prowadzili na drodze do La Saulaye rozmowę, którą podaliśmy w streszczeniu, pani de Vandricourt grała czas jakiś, spełniając prośbę Sabiny, a następnie, czując się znużoną, przeprosiła ją, że dłużej pozostać nie może i pocałowałszy jak zwykle przeszła do swego pokoju. Było w połowie Maja; jak cały dzień tak i wieczór był bardzo piękny i ciepły. Alieta stanęła w oknie, aby nim się zaczęło rozbierać odetchnąć jeszcze dochodzącą do pokoju świeżą wonią młodej zieleności, pierwszych fijołków i leśnych konwalii.

Niebo błyszczące gwiazdami, roztaczało białe od gwiazd odbite światło na rozwijające się liście i po nad całą wioską. Zatopiona w zadumie, pani de Vandricourt drgnęła nagle, spostrzegłszy cień panny Tallevant, przesuwał się aleją parku; zdążyła ku ulicy stanowiącej najbliższą drogę do La Saulaye.

Było już około jedenastej, gdy rozstawszy się z doktorem, pan de Vandricourt wracał do Valmontiers. Idąc laskiem, dostrzegł w bladym półcieniu kobietę idącą ku niemu; szła cichym, lekkim krokiem, głowę jej i biust osłaniała koronkowa zarzutka, jaką zwykle noszą Hiszpanki. Poznał ją od razu, bo w tejże właśnie chwili przyzywał jej postaci, wstrząsającej całą jego istotą, pragnąc ujrzyć ją w uroczym otoczeniu tej cudnej wiosennej nocy. Doznał tak gwałtownego wzruszenia, iż serce nagle bić przestało, poczem wstrząsnawszy się nagle, zaczęło silniej uderzać.

Niebawem oddzielało ich kilka już tylko kroków.

— Ah! panna Sabina! — rzekł Bernard spokojnie — sądziłem, że to duch jej tylko.

— Nie, nie duch mój, ale ja w swej własnej osobie — odpowiedziała równie spokojnie. — Nęciła mnie piękność ślicznego wieczoru i zwróciłam się w tę aleję, z nadzieją, że może spotkam pana.

— O! nie wierzę temu... Myślę, że wyszła pani, aby przy świetle gwiazd zbierać w lesie czarno-księżkie zioła.

— Tak, niby jak czarownica?

— Jak młoda, uroczą czarodziejka.

— Zbytek dobroci!... Wszak wracamy?

— Jeżeli pani tak chce.

— Naturalnie, że chcę tego.

Zawróciła ku pałacowi w towarzystwie pana de Vandricourt. Wbrew zwykłemu zachowaniu, zdawała się nieco zmieszana; z roztargnieniem ciągle z jednej ręki zdejmowała i wkładała rękawiczkę.

— Jakież to dziwne odgłosy dają się w nocy słyszeć w lesie — rzekła po chwili.

— Czy bała się pani?

— Cóż znowu!... tylko parę razy zdawało mi się że słyszę jakieś kroki między zaroślami.

— Nic to niepodobnego; nie brak tu kłusowników.

— I kłusowniczek — dodała śmiejąc się.

— Mniejsza o kłusowniczkę — odrzekł tymże tonem Bernard, że mi już krwi niepsują... Czy pozwoli pani podać sobie ramię?

— Nie, dziękuję.

Chwila milczenia, poczem zapytała.

— O czem pan rozmawiał z moim opiekunem?

— O rzeczach bardzo poważnych, o naukach filozofii, religii...

— Może to bardzo zbawienny wpływ wywrzeć na pana.

— Pragnąłbym tego — odpowiedział — ale dotąd daje mi tylko uczuwać coraz boleśniej jak wielka przestrzeń dzieli mnie od takiego człowieka jak opiekun pani... Gdybym był tak jak on poświęcił życie moje pracy i nauce, zamiast marnować je na bezmyślne uciechy, byłbym dziś lepszy i szczęśliwszy.

— Tak pan sądzi?... Lepszym, być może... nie byłoby w tem nic trudnego... ale czy szczęśliwszym?... niech mi wolno będzie wątpić o tem... Wiadomo panu jak wiele oddawałam się naukom, nie ma jednej konstellacji, której nie znałabym nazwy, układu i obiegu, nie ma owadu uspiętego w tych zaroślach, którego nie znałabym organizmu, rodzaju i gatunku, jednego kamyka na tej drodze, którego wieku geologicznego nie umiałabym wykazać... jednej odrobiny mchu, jednej kropli rosy, której nie zdołałabym zanalizować i określić jak najdokładniej... a bynajmniej nie mam przekonania, że jestem przez to szczęśliwszą, ani nawet lepszą!

— Zdaje mi się, że sama tylko pani wie co się dzieje w jej głowie i sercu.

— Bardzo to być może.

— Panno Tallevant?

— Panie de Vandricourt?

— Czy w tej samotności mogę się ośmielić zapytać panią, jaką wyznajesz religię?

— Naturalnie, że religię mego opiekuna.

— I myśli pani, że dałaby ci dostateczną siłę do oparcia się wszelkim pokusom świata, nawet najsilniejszym, nawet najstrasznieszym?

— Dawała mi ją dotąd.

— Powinnaby więc pani mnie w nią wtajemniczyć... bo wuj jej pomimo głębokiego swego przekonania i wymowy, dotąd przekonać mnie nie zdołał... a przecież nigdy jeszcze więcej nie potrzebo- wałem pewności i hartu sumienia, jakie tylko silna wiara dać może.

— Panie de Vandricourt, czy rzeczywiście pragnie pan abym go wtajemniczyła w moje zasady religijne?

— Pragnę tego jak najgoręcej.

— Za wielką by to sprawiło przykrość żonie pana.

— Żona moja wie dobrze, iż wierzeń jej nie podzielam i nigdy podzielać nie będę — odpowiedział poważnie.

— Nie! byłoby to dla niej nader bolesne — odpowiedziała — a ja żonę pana lubię bardzo, bardzo!... A potem, widać już oświetlone okna pałacu, więc i czasu by nam na to zbrakło... pana nawrócić, niełatwe musi to być zadanie!... A nadto...

— Nadto?...

— Nie jest pan wtajemniczony... nie zrozumiał byś mnie.

— Dziękuję za dobrą opinię... ale zawsze spróbuj pani... tak lubię głos twój... Jeżeli nie zrozumieć słów, melodia jego mi wystarczy.

— Panie de Vandricourt, czy można prosić, abys nie prawił mi słodkich słówek?... Wolę daleko kiedy mi mówisz impertynencye... gdyż lubię oddawać za nie wet za wet... A zresztą jest-to jedynie możliwa i stosowna między nami rozmowa... wszak rozumiał mnie pan?

Podniosła głowę, zwykły jej uśmiech sfinksa rozchylił jej usta, zwróciła ku niemu swą piękną twarz, którą światło gwiazd czyniło bledszą.

Zatrzymał się, pochylił nieco ku niej, orzucając namiętnem spojrzeniem.

— Sabino! — zawołał stłumionym głosem — czemuż, ah! czemuż przepaść nas rozdziela!...

Jak gdyby łąjąc go i upominając, ręką swoją, z której zdjęła rękawiczkę, położyła na ręce Bernarda.

— Panie! — rzekła łagodnie.

Zatrzymał jej rękę, nie zbyt małą ale śliczną kształtem:

— Błogosławiony, kto będzie mógł wesprzeć się na tej ręce, tak pięknej, tak delikatnej a tak mężnej! — szepnął i nagle podniósłszy do ust, okrył gorącymi pocałunkami.

Wysunęła prędko rękę i zawołała odsuwając się od niego:

— A! panie; jestem tu sama... bez opieki... ufając...

— Przebacz pan!

— Czyżbym się myliła, uważając pana za uczciwego człowieka?

— Uspokój się pani i bądź o tem przekonana.

— Zobaczymy.

Nastało milczenie, weszli do pałacu nie zamieniawszy ani słówka.

W kilka chwil później, weszła do niego i pani de Vandricourt, bocznymi drzwiami, prowadzącymi do tylnych schodów jej apartamentu, które wychodząc zostawiła otwarte.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— Już idą! — zawołała Kasztelanka bledniejąc i załamując ręce. — Co tu czynić! co czynić?

Służebne także pobladły i dygocąc całe, nie śmiały się ruszyć, a Bartek, mając zapruszoną głowę, bił pięścią w stół i krzyczał:

— Szaniawski! ja powiadam, że to obwieś ostatni. Jemu barany paść na piaskach podlaskich a nie komenderować w Krzepicach. Jego komendantem uczynili! Jak Boga kocham, te Szwedy to się wściekły!

I wyciągnąwszy nogi przed siebie, rozwalil się na zydłu i wołał:

— Jaguś! Jaguś! moje ty kochanie!

Był całkiem pijany. Ciepło panujące w komnacie rozmarzało go jeszcze bardziej, a krzyczał tak, że go nie tylko na schodach ale i na dziedzińcu zapewne słyhać było. Wszystkie dziewczeczki potruchlały i ruszyć się nie śmiały, nad słuchując kroków na schodach. Jedna tylko Jagusia nie straciła przytomności. Skoczyła do Bartka, zatykając mu usta białą rączką i szepejąc mu do ucha:

— Cicho bądź Bartku, cicho, jeżeli mnie choć krztę miłujesz?

— Czy ja cię miłuję Jaguś! Jak Pana Boga kocham, miłuję cię okrutnie. Żebym tu zaraz skisnął, żebym na psa ostatniego zeszedł, jeżeli to

nieprawda. Ja, jak Pana Boga kocham, kiedy sobie wspomnę, jak cię matuś srogo katowała, to mi się tak ckliwo robi, że chcę beczuć...

I rozbeczkał się na dobre. Łzy mu jak groch kapaly z oczów, a ryczał przytem tak głośno, że omal szybki w okienku nie brzęczały. Nie było sposobu go utulić. Jagusia w rozpacz, słysząc zbliżających się już do drzwi, skoczyła do tych drzwi, żeby je zasunąć, ale było już za późno. Do komnaty wszedł komendant Szaniawski, a za nim kilku szlachty i oficerów szwedzkich.

Szaniawski, spostrzegłszy Bartka, rzekł wskazując nań:

— Otóż go macie!

Bartek, usłyszawszy głos Szaniawskiego, zerwał się na równe nogi:

— Szaniawski! Podlasiak!...

I chciał ku niemu podbiec, gdy nagle zatoczył się i runął jak długi na podłogę.

— A toście go waszmość panny uraczyły! — rzekł z ironicznym uśmiechem Szaniawski, poglądając na cztery wystraszone dziewczyny. — Urzwał się jak bela.

— No — obrócił się do swoich — wziąć go!

Na te słowa wysunęła się Jagusia i zasłaniając sobą Bartka, zawołała groźnie dotykając rękojeści swej szabli:

— My pana Koszarskiego wziąć nie damy!

— A ty dzierlatko! — zaśmiał się Szaniawski a za nimi inni, ciekawie przypatrując się Jagusi, która zarumieniona od gniewu i wstydu, z płomieniami w oczach i postawą rycerską, wyglądała prześlicznie.

— Ładna dziewoja! — rzekł któryś z gromady.

— Niczego, ale po kiego dyabła ona się po mężku przebiera?

— To niesłychane!

— Za to na stosach palą!

— Co tam stosy! dziewczucha jak malowanie!

— A! ten opój ma dobry gust!

— I z dziewczuchą tak jeździ!

— A z dziewczuchą!

Znowu śmiechy i spoglądanie na Jagusię. Kasztelanka tymczasem oprzytomniała i z miną królowej zwróciła się do Szaniawskiego:

— Mości panie komendancie, każ waszmość tym ichmościom ztąd wyjść albo milczeć!

Umilkli wszyscy i w izbie zrobiła się cisza jak makiem zasiał, a Szaniawski ozwie się:

— Jaśnie wielmożna panno Kasztelanko, tylko niezwyuczajne wypadki zrzędziły...

Ale kasztelanka przerwała mu jego usprawiedliwianie się gestem rączki i rzekła:

— Po co waść chcesz zabrać tego szlachcica?

— Narobił nam takiego bigosu, że mam biedę jak po szturmie i kilku rannych ludzi. Juścić nie mu nie uczynię, choć najlepiejby było obwieścić hultaja na baszcie, ale mi idzie o generała Horna. Nic mu więc nie uczynię, jeno go zamknę do jutra rana, by więcej braweryi nie robił. Szalona pałka jest i upił się widzę jak bela.

Istotnie Bartek leżał jak kłoda na ziemi i spał, mrużąc coś ciągle pod nosem. Z wielkim trudem i mozołem podniesiono go z ziemi, czemu już wreszcie Kasztelanka i Jagusia nie oponowały i wyniesiono. Na schodach, na chłodzie, Bartek trochę otrzeźwiał i począł się rzucać i kłąć, ale go uspokoiono i tak zaniesiono do owej komnaty w baszcie z której był wyszedł i tu ułożono na twardem łóżku, na którym wkrótce Bartek zasnął snem ciężkim i niespokojnym, chrapiąc głośno.

Nazajutrz, o świtanie, Szaniawski w towarzystwie Kasztelanki, Bartka i Jagusi, oraz dziesię-

ciu zbrojnych ludzi, ruszył na miejsce spotkania dla wymiany Horna.

XI.

W obozowisku polskiem, po wyjeździe Bartka i Jagusi, ukrytej pod przezwiskiem rycerza Litawora, wrzała radość i wesele. Zapasy żywności, napojów i paszy nagromadzone na rozkaz Szwedów, usposabiały wszystkich jak najlepiej. Starszyzna wraz z Hornem pomieściła się w obszernej chacie leśniczego, wojsko jak mogło po chałupach, stajniach i oborach. Ze zdobytych na Szwedach koni wysztutowano jazdę, tak że piechoty niewiele pozostało, co się niebardzo podobało Żwanowi, ale na co nalegał Lniski, mówiąc, że jeżeli chcą coś zrobić, muszą się ruszać szybko, odbywać wielkie drogi i znajdować się naraz w kilku miejscach. Droga, wiodąca do Kłobucka, obstawiona została strażą z nakazem nie puszczania tam nikogo, pod żadnym pozorem. Szło o to, żeby wieść o klęsce Horna, jak najpóźniej się rozeszła.

Po południu, kiedy Boruta dziwy opowiadał o swej żonie, tak, że nawet Lniski się śmiał głośno a inni pokładali się od śmiechu, dano znać, że od Krzepic przyjechała karoca, w towarzystwie dziesięciu zbrojnych hajduków, jakaś wielka pani i nie powiadając kim jest, chce koniecznie widzieć się ze Żwanem.

— Ale któż to może być! — pytał zaciekawiony Żwan.

— A cóż nam, panie bracie, do tego? — wtrącił Boruta. — Od Krzepic jedzie, więc zapewne w sprawie Horna. Przyjść należy a przyjąwszy, dowiemy się zaraz, kto ona jest, ta wielka pani.

Poproszono więc owej pani i wkrótce przed domem leśniczego z szumem, brzękiem i trzaskiem zajechała karoca starościny warszawskiej, pani Grzybowskiej, tej samej, którą na drodze spotkał był Bartek Koszarski. Wszyscy, co byli w chacie leśniczego i Żwan i Boruta i Żaba, oprócz Lniskiego, który się nie ruszył wcale z kąta i milcząc popijał wino, poskoczyli do okna przypatrzeć się tej pani.

— Strojno i zbrojno — rzekł Boruta — ale całe nie poznaję, kto to może być?

Dopiero kiedy nakoniec z karocy ukazała się sama starościna i dwóch hajduków, zeskokczywszy z koni, wzięło ją na ręce i wyniosło na ganek dworku, dopiero Boruta, klasnąwszy w ręce, zawołał:

— Starościna warszawska! otóż masz! ta baba to wszędzie się wściubi.

Na ten wykrzyknik, Lniski podniósł się z kąta i rzekł:

— Czy to pani Grzybowska?

— Tak.

— Guldenstern de domo?

— Tak pono... a nawet gadają, że tam kiedyś król Jan Kazimierz cholewki do niej smała i pono nie była mu zbyt sroga! — prawil krzywiąc się i oczyma strzelając Boruta.

Lniski nic na to już nie odrzekł, jeno swym drewnianym krokiem ruszył do kąta, z którego był przed chwilą wstał. A już też drzwi z trzaskiem się otworzyły i do izby wtoczyła się imcipani starościna, szeleszcząc ciężką suknią i futerkami, które miała na sobie. Weszła i posuwając się na środek izby, nieco przyciemnej, ile że to było w listopadzie i wśród boru, oglądała się dokoła, rozsiewając od siebie mocny, duszący zapach laren-dogry.

— Któż tu jest pan Żwan? — spytała nako-
niec.

— Jam jest! — rzekł Żwan, wysuwając się na
środek.

— Ah, to waszmość! proszę bardzo! ja cię pa-
nie Żwanie gdzieś widziałam już. Ah! ah! u ka-
sztelana krakowskiego. Już wiem, już wiem! — po-
częła klaskać w ręce — toś ty podarował panu War-
szykiemu wieś! och, ja wiem wszystko, wiem...
Il y va de l'amour! Otóż to, otóż to! Ale proszę
mi dać jaki stołek. Ciężko ubrana jestem...

Boruta żwawo podsunął jej swój zydel i kłania-
jąc się po kawalersku, rzekł:

— Witam jaśnie wielmożną panią starościne
w naszym obozie?

— Boruta! *excusez...* pan Boruta tutaj! Ktoby
się był spodziewał, że ja waszmość pana napo-
tkam. Ale co ja też mówię, jakżeby to być mogło, że-
byś ty tu nie był. Ale to tu cały powiat widzę jest.
Cóż to, powiedzcie mi, konfederacja, czy co? bije-
cie Szweda?...

Obejrzała się dokoła:

— A nikt tu nie słyszy?

I spostrzegłszy ciemną, ukrytą w kącie postać
Lniskiego, spytała:

— Któż to jest, co tam siedzi?

Zatrzeszczał zydel, na którym Lniski siedział;
przez chwilę panowało milczenie, aż nakoniec ry-
cerz ten podniósł się ciężko i ruszył prosto, jakby
go z drewna wyciosał, ku staroście. Przyszedł-
szy przed nią, stanął i nie skłoniwszy się wcale,
rzekł swym ponurym, grobowym głosem:

— Jam jest...

Starościna, rzuciwszy nań okiem, nagle zerwała
się na równe nogi, cofnęła się gwałtownie i zakry-
wając twarz rękami, krzyknęła:

— Wielki Boże! co widzę!...

Lniski nie ruszył się wcale. Na jego posępnej,
zoranej twarzy, nie widać było żadnej zmiany.
Stał i patrzył swymi maleńkimi oczkami na sta-
rościne, która drżała cała, jakby w febrze.

— Tak, to ja, Samuel Lniski! — ozwał się po
chwili — mnie to waszmość pani widzisz, pani Lo-
dowiko! To ja...

— Zkądżeś się tu wziął? — zawołała wreszcie
starościna, dziwnie wzruszoną, trzęsącym się
głosem — z grobu chybaś wstał?

— A może i z grobu! — odparł Lniski. — To
pewna, że od roku po grobach jeno stąkam i groby
kopię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY JERZEGO BRANDESA O ROMANTYZMIE POLSKIM.

Gdy Brandes, znakomity krytyk duński, zapo-
wiedział odczyty swoje o romantyzmie polskim,
zajęcie ogółu silnie rozbudzone zostało. Znali-
śmy już Brandesa z jego odczytów przeszlorocz-
nych, znaliśmy go już zresztą jako autora „Głó-
nych prądów literatury XIX stulecia”, ceniąc je-
dnak wysoko jego umysł krytyczny, bystrość spo-
strzeżeń i metodę badań, nie wiedzieliśmy, jak się
wywiąże z obranego przez siebie zadania. Byli

nawet tacy, którzy wątpili, żeby to było możli-
wym, przy zupełnej nieznajomości języka polskie-
go i przy niedokładnych i nielicznych tłumacze-
niach. Pokonał jednak Brandes wszelkie trudno-
ści i chociaż nam nie dał skończonego obrazu naj-
świetniejszej epoki naszej literatury, rozświecił ją
jednak kilku świetnymi rysami, naznaczył wybit-
ne a zarazem całkiem odrębne stanowisko wśród
ówczesnego romantyzmu, zrozumiał jej ogólny
charakter, a zarazem charakter narodu. Wnio-
skami zaś wyprowadzonymi z poznania poezji pol-
skiej i jej przedstawicieli, uradował serce i ducha
pokrzepił. Wobec tego wszystkie braki i niedo-
kładności, któreby się wykazały, łatwo mogą
być wybaczone, zresztą były one nieuniknione
z powodu niedostatecznego obznajmienia się z na-
szymi poetami. Najgorzej na tem wyszedł Sło-
wacki, którego nazwał pawiem, porównawszy
wprzód Mickiewicza do orła, Krasińskiego do ła-
będzia. Zarzucał mu także naśladownictwo, prze-
ważnie Szekspira i Dantego, przyznając jednak
wielką obrazowość i prześliczny język. Przypu-
ścić można, że poznanie w oryginale Anhelego,
Ojca zadżumionych, Grobu Agamemnona i tyłu
innych klejnotów poezji, zmieniłoby zdanie Bran-
desa o Słowackim, któremu obok barwności przy-
znał by więcej cech oryginalności i wyższości.

We wstępie zaznaczył Brandes, że nie ma za-
miaru badać literatury polskiej, lecz chce ją tyl-
ko przedstawić w stosunku do innych literatur
i tak jak się ona odbija w umyśle czytelnika euro-
pejskiego.

W Danii istniała od dawna sympatya dla Pol-
ski w skutek pewnego podobieństwa losów i san-
gwistycznego temperamentu mieszkańców. Nieze-
go się jednak od siebie te narody nie nauczyły
i do 1830 r. mało o sobie wiedzą. W polskiej lite-
raturze spotykamy wspomnienie Danii w pamiętni-
kach Paska, który tam czas jakiś przebywał, ko-
chał się nawet w córce obywatela duńskiego, ale
powróciwszy do ojczyzny dwie tylko rzeczy z sobą
przywiózł: drewniane trzewiki i botforty, których
dotąd w Polsce nie znano.

Później Słowacki w Lilii Wenedzie robi Gwido-
ną kobietą skandynawską, a w Irydynie Krasiń-
skiego spotykamy fantastyczny obraz starożytnej
Danii pod mitologicznym królem Odysem. Wpływ
polski na literaturę skandynawską był daleko
głębszy. Wypadki między 1830 a 1840 r. budzą
najżywszą sympatyę. Powstaje cały szereg pię-
knych, lirycznych poezji, osnutych na motywach
polskich, a w 1840 r. najznakomitszy poeta swego
czasu Carsten Hansch, wydaje powieść pod tytulem:
„Rodzina polska” budzącą ogromne zajęcie.
Chociaż nie był w Polsce, ale entuzjastyczna jego
natura tak się przejęła losami kraju, że w powie-
ści jego odnajduje się dużo prawdziwych rysów
charakteru polskiego. Do dziś dnia wiersz za-
mieszczony w tej powieści: „Dlaczego fale Wisły
tak wezbrały”, do którego piękną muzykę dorobił
Niels Gades, jest jednym z najpopularniejszych
śpiewów skandynawskich. Odczyty, jakie miał
Brandes w Kopenhadze o literaturze polskiej
wzbudziły najżywsze zajęcie, jego samego przed-
miot ten nadzwyczaj pociąga. Literatura polska
robi na nim wrażenie obrazu Gabryela Maksa:
„Chustka św. Weroniki”, który zresztą pod wzglę-
dem artystycznym bardzo nisko ceni. Zależnie
od punktu z którego patrzymy, oczy Chrystusa
przedstawiają się tam zamknięte lub otwarte, tak
samo i z literaturą polską. W pierwszej chwili
wydaje się nieprzeniknięta, odosobniona, przy-
bliższem jednak poznaniu okazuje się pełną życia,

jak oczy Chrystusa i jak one smutno i poważnie
patrzy na widza.

Literatura polska naszego wieku przechodziła
te same koleje i tym samym prądom ulegała, co
inne literatury europejskie. Na początku wieku
przestarzały klasycyzm, wkrótce porzucony, potem
romantyzm, najdłuższą przestrzeń czasu zajmują
i najżywsze budzący zajęcie, wreszcie za dni na-
szych rodzący się realizm. Obok cech wspólnych
wszystkim narodom europejskim, każdy naród po-
siada sobie właściwe, odpowiednie do swej prze-
szłości i warunków w jakich żyje, dlatego też
w Polsce, w skutek nagle utraczonego bytu poli-
tycznego, literatura a zwłaszcza poezya, zastąpiła
wszelkie objawy życia narodowego i przez to stała
się bardziej żywotną, ale też i bardziej jednostron-
ną. Pod trzema głównymi wpływami rozwinęła
się romantyczna literatura polska, a są niemi:
charakter narodowy, romantyzm europejski i wy-
jątkowe położenie kraju. Charakter Polaków bo-
haterski, szlachetny, marzycielski, lubujący się
w okazałości i przepychu, skory do czynów rycer-
skich, zdolny do uniesień religijnych, skłaniał się
sam przez się ku romantyzmowi. Polacy przypo-
minają Francuzów, ale brak im zimnego rozumo-
wania tychże i dlatego siła języka polskiego jest
w poezji, u francuzkiego w prasie. Przypomina-
ją także Polacy Włochów żywością uczuć i czcią
obrazów, ale nie mają ich machiawelizmu w życiu
publicznem, a zmysłu plastycznego w poezji i sztuce.
Romantyzm w Polsce przybrał zupełnie od-
mienny charakter niż w Niemczech, Anglii, Fran-
cyi i Włoszech. W Niemczech stał się niepe-
wnym idealizmem, brakiem uczuć obywatelskich,
wstrętem do rzeczywistości.

W Anglii musiał walczyć z wrodzoną skłonno-
ścią narodu do utylitaryzmu; we Francyi i Wło-
szech pod wpływem żywiołu łacińskiego czyli kla-
sycznego, był tylko krótkotrwałym artystycznym
uniesieniem. W Polsce zaś, gdy charakter naro-
du i nieszczęścia kraju skłaniały wszystkich ku ro-
mantyzmowi, łączył on dusze wszystkich w entu-
zyastyczne uczucie solidarności narodowej. Sam
fakt iż ojczyzna przestała być rzeczywistością lecz
jest czemś, w co trzeba wierzyć, bo oczyma ciała
widzieć nie można, wpływał silnie na usposobienie
romantyczne narodu. Wszystkie jego marzenia
i uczucia obracają się dotąd w około jednego pun-
ktu, a jest nim los kraju i współziomków.

Mimo jednak gorącej dla nich miłości, poeci
polscy umieli przedstawić ujemne strony ich naro-
dowego charakteru i to stanowi wyższość literatu-
ry polskiej nad innemi, mającemi wspólne z nią
rysy.

Například literatura flamandzka, powstająca
w Belgii około 1830 r., głównem jej dziełem jest
powieść Henryka Conscience: „Lew flamandzki”,
przypomina Pamiętniki Soplicy „Rzewuskiego”.
Siłę tej literatury stanowi liryka, ale wydał ją na-
ród spokojny, mieszczański, jest więc ona przyku-
ta do ziemi, nie skrzydlata i płomienista jak pol-
ska, która wzlata pod niebiosa, promieniami swe-
mi widnokrąg oświecła i znika w obłokach.

W literaturze znów Finlandyi znajduje się poe-
mat wielkiego jej poety Runeberga, który trochę
Mickiewicza przypomina, a cykl jego poezji pod
tytułem: „Opowiadania junkra Stala”, przedstawia-
jących walkę o Finlandyę w 1810 r., jest może
w całej literaturze europejskiej, utworem najbar-
dziej Pana Tadeusza przypominającym. Brak je-
dnak Runebergowi pierwiastku współczesnego,
który-by utworom jego nadawał znaczenie ogół-
niejsze, co właśnie znajdujemy u poetów polskich

tej epoki, brak również tej wzniosłej krytyki, którą się tamci odznaczają.

Do tych odmiennych cech romantyzmu, dodać trzeba gorące uczucie religijne, oraz skłonność do wiary w duchy i zabobony, do czego zdaje się nawet skłaniać Mickiewicz w swoim wierszu programowym: „Romantyczność”, a będziemy mieli wyraźną różnicę istniejącą między romantyzmem w Polsce a w innych krajach europejskich.

Można odnaleźć pewne podobieństwo Mickiewicza do Oehlenschlägera poety duńskiego i Tegniera szwedzkiego, tylko, że ci wielcy Skandynawowie poświęcili się tylko przeszłości swego narodu i dziejom bajecznym, a Mickiewicz dał obraz tego co widział i co sam czuł, zwłaszcza w utworach w których się wznosił najwyżej, w Panu Tadeuszu i w niektórych częściach Dziadów, a to stanowi ogromną jego wyższość nad innymi narodowymi poetami. Poeta może bowiem opisywać i wybić piętno rzeczywistości na tem tylko, co sam widział. W poezji polskiej spotyka się wiele takich rysów realistycznych; widzieli nawet czasem więcej inaczej niż zwykły człowiek, gdyż byli zarazem obserwatorami i jasnowidzącymi.

Pociąg do mistycyzmu i wzgląd na cenzurę zmuszały ich do używania formy alegorycznej i abstrakcyjnej dla wyrażenia swych myśli, takimi się nam przedstawiają Konrad Walenrod i Grażyna.

Ogromny wpływ wywarli na Polskę i na jej poetów Napoleon i Byron, powiedzieć można, że większy tam zapal budzili, aniżeli we własnej ojczyźnie. Nawet gdy Napoleon zdradził ją najhańbiej, poświęcił dzielne legiony, sfałszował odezwę Kościuszki, wzywającą naród do powstania, gdy tymczasem Kościuszko niedowierzając cesarzowi Francuzów był temu najzupełniej przeciwny, wtenczas nawet i potem jeszcze, naród polski ubóstwiał Napoleona. Krasiński, we wstępie do Przedświtu, wyprowadza od niego nową erę, a Mickiewicz w mistycznej swej epoce uwielbia w nim wielkiego człowieka; powiada iż poezja jest to czyn, a zatem życie Napoleona, jest najzaszczytniejszą poezią. Przeznaczenie jego było zbawiać ludy, a zatem i świat cały.

Ten sam zapal, jako dla wszystkiego co błyszczy i olśniewa, okazują Polacy dla Byrona. Mickiewicz i Słowacki różniąc się we wszystkim, zgadzają się tylko z sobą w bajronizmie w którym trwają długie lata.

Waszyngton nie robi w Polsce żadnego wrażenia, a Napoleon wszystkich porywa; także i Schelley przeszedł niepostrzeżenie, podczas, gdy Byrona cały naród uważał za największego poetę lirycznego, a jednak poezja Schelleya przy poezji Byrona, jest jak uroczą symfonią w porównaniu do odgłosu trąb i bębnow.

Niezaprzeczoną jednak zasługą Napoleona i Byrona względem Polaków jest to, że wyrwali ich z odosobnienia w jakim po zaszytych wypadkach znaleźli się. Walcząc z Napoleonem po całym świecie imię swe roznieśli, a przejmując się uczuciami Byrona, rozpacz i miłość swobody wprowadzili do swej ojczyzny.

Z pomiędzy innych poetów Dante i Szekspir największy wpływ w Polsce wywierali, zwłaszcza Słowacki naśladuje styl i rodzaj Szekspira. Nawigęcej zaś pokrewieństwa duchowego dopatrzeć można między Dantem a poetami polskimi.

Jak on, wygnańcy i nieszczęśliwi, patrzyli na upadek polityczny swego narodu i jak on szukali ulgi na swe cierpienia w prorocत्वach i wyroczniach!

Najwyraźniejszy wpływ Dantego odnajduje się w Krasińskim, a potem w Słowackim, ze wszystkich utworów „Piekło” najgłębsze ślady zostawiło, tylko postać Beatryksy, zwiastującej odrodzenie i szczęście, rzadko się ukazuje w utworach poetów polskich.

Losy kraju tak silnie odbijające się na literaturze, oddziaływały także na charakter pisarzy. Wszyscy oni mają wiele cech wspólnych: szlacheckie pochodzenie, wychowanie w religii katolickiej, gorący patriotyzm, prócz tego wszyscy opuszczają kraj między 20 a 30 rokiem życia i nigdy już do niego nie powracają. Za granicą działają jako przewodnicy narodu, nie wiedząc jednak czy ten naród mają za sobą i oczekują ciągle przewrotu polityki europejskiej.

(Dokończenie nastąpi.)

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

(Ur. 1802 roku 14 Lutego, † 31 Marca roku bieżącego.)

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Coraz nowa otwiera się mogiła, jeden po drugim zstępują do grobu olbrzymi ducha co przed kilkudziesięciu laty wzniesli wspaniałą świątynię poezji rodzimej, a pracami i pieśniami swemi nieśpożyte dla kraju położyli zasługi, wskazywali drogi, rzucali światło w umysły, ciepłem serc własnych rozgrzewali serca, cierpieli i kochali za miliony dając zarazem życiem całym wzniosły przykład wytrwałości, poświęcenia, wiary, miłości i nadziei.

Dnia 31 Marca o godzinie 6 i pół rano, rozstał się z tym światem w Villepreux, pod Paryżem Józef Bohdan Zaleski, towarzysz i przyjaciel Mickiewicza, ostatni ze świetnej ówczesnej plejady wielkich poetów naszych, którzy zawładnąwszy sercami rodaków, zmusili zarazem obce narody do poznania i uczczenia ducha naszego.

J. B. Zaleski przyszedł na świat na Ukrainie, we wsi Bohaterce, nad Rosią i Rosawą, dnia 14 Lutego 1802 r. a więc według starego stylu w dzień Matki Bożej Gromnicznej. Matkę stracił zaraz po urodzeniu i dlatego w wierszu napisanym na pamiątkę dnia swych urodzin pisze:

Święć się nam w sercach, domowa pamiątko!
Ów syn, o matko! ledwie przeżegnany,
Twe pogrobowe, gromnicze dzieciątko,
Piastuje lutnię między chrześcijan.

Pierwsze lata młodociane przeżył w chacie ukraińskiego wieśniaka, pasiecznika, któremu powierzono wątłego z urodzenia chłopca, aby wzmoćnił się i nabrał sił pod pięknem niebem wybrzeży Dniepru. Tam to żył się ze swoją Ukrainą; tam to jak mówi: „Matka Ukraina, skrzydlatego swego syna, upowiła w pieśń u łona, mlekiem dum i mleczem kwiecia”, to też ukochał ją tak serdecznie, iż w niebie nawet mieć ją pragnął.

W r. 1815, a więc w 13 roku życia, oddany został do szkół bazylikańskich w Humanu; tam już zaczął pisać wiersze; lecz zgodnie z tradycją szkoły, pierwszy ogłoszony drukiem utwór jego w *Dzienniku Wileńskim* (1819 r.) był wierszem klasycznym, p. n. *Do Pirry*. O romantyzmie nie słyszano jeszcze wówczas w Humanu. Doszły tam je-

dnak poemata Brodzińskiego i taki wywarły urok na Bohdana Zaleskiego, iż postanowił przenieść się do Warszawy i tu w uniwersytecie kończyć nauki, głównie dlatego, aby się zbliżyć do autora *Wiesława*. Tu oddziaływały na niego dwa wpływy, dwa kierunki literackie i społeczne, klasycyzm i romantyzm. Od klasyków przejął formę, poprawność i czystość języka, od romantyków ducha narodowego i zamiłowanie w kolorystyce ludowym.

W r. 1830 napisał w Warszawie prześliczne *Rusalki* do „Meliteli” Odyńca, lecz w późniejszych dopiero utworach duch poety zolbrzymiał, uczucie spotęgowało, język dosięgnął najwyższego możliwego udoskonalenia. W poezjach Zaleskiego obrazy, uczucia, myśli uwydatniają się z całą plastycznością, lub też według woli jego rozpluwają się w błękitnym pomroku jak jego stopy, nigdzie nie znajdzie tam fałszywego rymu, nigdzie łamania się z rytmem; wszędzie śpiewność, harmonia, nie dopełni ich muzyka ani deklamacja, czytać tylko utwory jego, a same w duszy śpiewają. Jest to język rdzennie swojski, a jednak zdaje się jakby wyzwolony z pęt ziemi, język z wyższych jakiś światów. Zaleski oddał przyszłym pokoleniom język nasz jako lutnię doskonale już ograną.

Po ukończeniu uniwersytetu J. B. Zaleski był nauczycielem domowym w kilku różnych domach, przebywając już to w mieście już na prowincyi, a w roku 1830 zamieszkał we Francyi, często jednak zmieniał miejsca pobytu, przebywając to w Paryżu, to w Fontainebleau, w Plombieres, w Sevres, to w Alzacy, lub w Lausannie w Szwajcaryi i w wielu jeszcze miejscowościach, nim nareszcie stale osiadł w Villepreux o dwie mil od Paryża, w wiejskiej ustroni, w posiadłości zięcia swego, doktora Okińczyka, który go najtroskliwszą otaczał opieką, a który także rozstał się z tym światem dnia 18 Marca r. b. Powód tych częstych zmian miejsca pobytu, objawił poeta w ślicznej dumce: „Śpiewak tęskniący”.

Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni!
Wiecznie w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni.

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało,
Indziej było tak żywo,
Tak płomiennie kochało.

Ah! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie,
Wzrok jak pieśni — daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie...

Do roku 1842, Bohdan Zaleski niekiedy tylko ogłaszał utwory swoje w czasopiśmie, w tymże dopiero roku wyszło zbiorowe wydanie poezji jego w Poznaniu 2 tomy. Drugie wydanie pomnażane coraz piękniejszymi poematami, jak *Duch od stepu*, *Przenajświętsza rodzina*, *Kalinowy most*, przekłady, dumki, szumki i pyłki, etc. wydał M. B.

Wolff w Petersburgu, w 1851 roku, a trzecie, najkompletniejsze jest lwowskie, w 4 ch tomach, wyszłe w 1877 r.

Nie miejsce i nie pora w krótkim pośmiertnym wspomnieniu rozstrząsać cały bogaty obraz jego zasług lub wydawać sąd krytyczny o jego utworach, osadził je cały naród i te matki, które po nauce pacierza, dumek i pieśni jego uczyły swe dziatki, i tym sposobem przechodziły z pokolenia w pokolenie, ucząc kochać Boga, współbraci i ziemię rodzinną. Przytoczymy więc tylko słowa Mickiewicza wypowiedziane o poezjach słowika ukraińskiego w Kollegium Francuzkiem w 1842 r.

„J. B. Zaleski jest niezaprzeczenie największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie poetyckiego igrzyska Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, co by jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko co jest najświetniejszego w kolorystyce, najdelikatniejszego w odcieniach.”

Któż z nas nie podziwiał owej cudnej krynicy jego natchnień, co odbijając w czystym wód swoich zwierciadle obrazy ludzi i otaczającej przyrody, tak uroczem je oblewa światłem, tak wykończy i uszlachetnia ich kształty, iż ziemskie owe istoty, przenosi żywem w jakieś czarodziejskie krainy. Wszystko to widzieliśmy tylokrotnie i widzimy codziennie na ziemi: a przecież nie zachwycaliśmy nas wcale, czemuż więc owe postacie tak zwyczajne i obojętne nam w świecie rzeczywistości, w utworach Bohdana tak zajmują, iż w sercach naszych odbija się każde uderzenie ich serca, każda boleść lub niedola? Bo ludzi owych i całą otaczającą ich przyrodę poeta podniósł do ideału, a poeta w natchnienia chwili to ów Anioł Pański co zstępuje w mętne fale Bethsaidy i poruszwszy wodę swemi śnieżnymi skrzydłami, uzdrowia cierpiących, wyzwalając ich z chorób i dolegliwości.

Rzeczywistość ziemską to właśnie owe cierpienia i choroby z których postacie swoje wyzwala poeta, przenosząc je z mętnej Bethsaidy w świetlany kraj ideału. Więc choć zachowały owe ziemskie swoje formy, ziemskie porywy, uczucia i bóle, już jednak należą do lepszego, wyższego świata, już ukazują nam się przystrojone w tęczę szatę doskonałej piękności, której twórczy duch ludzki jest życiodajną krynicą.

(Dokończenie nastąpi.)

KORRESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Kwietnia 1886 roku.

Z pierwszym słońcem, jakie zawitało do Paryża, mody wiosenne ukazały się w oknach wielkich magazynów tutejszych. Równie jak w roku zeszłym etaminy czyli kanwy wełniane, stanowią modę panującą, całą w nich nowość tworzą pasy rozmaitej grubości. Na tle zazwyczaj szarem, oliwkowym, popielatym lub hawanna, widzimy pasy bądź w rodzaju tureckim, bądź tego samego koloru jak tkanina, przerabiane w deseń wełną albo jedwabiem. Wierzchnia spódniczka mocno nafałdowana, zazwyczaj podniesiona i otwarta z lewego boku, bywa najczęściej w pasy, zarówno jak stanik i rękawy,

pod to idzie spódniczka z gładkiego materiału, cała plisowana, lub też u dołu i na rozcięciu wygarniowana wolantami. Niekiedy znów przeciwnie, pierwsza spódniczka bywa w pasy, podłużne lub poprzeczne, wierzchnia zaś z gładkiej etaminy. W takim razie i stanik powinien być gładki, otwarty, na kamizelce w pasy.

Mnóstwo też ukazało się w magazynach sukien czarnych z klarownej kanwy, przerabianej w pasy wełniane lub jedwabne. Powodem tego żaloba po hr. Chambord, noszona przez wielką część arystokracji francuskiej. Jak zwykle bywa w takich razach, osoby nie noszące nawet żaloby, przyjmują kolor czarny, idąc za ogólnym popędem. Do ubrania tych sukien, używany powszechnie szeroki słup, naszyty w deseń dżetem, spadający od stanu do ziemi, z lewego boku i naśladujący fałszywą spódniczkę. Takiż sam plastron widać z pod otwartych przodów stanika.

Kapelusze czarne, tak koronkowe jak słomkowe, przybrane dżetem, panują także nad innemi. Widzieliśmy w tych dniach właśnie, piękny dobór kapotek i okrągłych kapelusików, zakupionych na model przez panie Kuhnke, dajemy tu ich opis.

Kapotki tegoroczne mają rondka małe, przystające do twarzy, główkę wąską lecz bardzo wysoką. Główka ta ścięta w tyle, zastosowana zupełnie do włosów wysoko zczesanych. Ubranie stanowią przeważnie wielkie kokardy ze wstążki upiętej na druciku, pomieszczone z przodu główki, tworzące wysoką egretkę. Do strojnějších kapotek dodają jeszcze pióra lub kwiaty. Wstążka gładka *faille*, ma zwykle ząbki wypuszczone po brzegach.

Pierwsza z tych kapotek, cała nagarniowana koronką, tworzy dosyć wysoką piramidę. Nad czołem pomiędzy koronką, przechodzi pasmanterya z dżetów, egretka z piór strósich czarnych, składa całe ubranie. Szarfy do wiązania koronkowe.

Druga kapotka także z koronki czarnej, ma nad czołem spadające grelotki dżetowe. Po nad tem idzie wielka kokarda, złożona z kilku stojących pukli, upiętych na druciku, ze wstążki czarnej w ząbki. Takież szarfy służą do wiązania. W tyle miejsce karoczek, zastępuje pasmanterya dżetowa.

Trzecia kapotka bardzo oryginalna, koloru *Hawanna*, ma główkę klarowną, w rodzaju leciuchnego koszyczka, rondko ułożone z koronki włosianej, tegoż samego koloru, przerabianej w wypukłe szyszki. Garnirunek ten rześisty i wysoki nad czołem zwęża się i przystaje płasko po bokach. W pośrodku wpięta mała kokardka koloru *caroubier*. Nad tem idzie wysoka egretka ze wstążki hawanna i takichże piór strósich. Szarfy z takiejże wstążki do wiązania pod brodą.

Czwarta kapotka słomkowa, koloru przypalonej słomy. Rondko ułożone ze skreconego aksamitu w kolorze czekoladowym. Do główki upięta wielka kokarda ze wstążki tegoż koloru i dwie gałązki akacyi, w kolorze blade koralowem. Szarfy czekoladowe.

Piąta kapotka, ma denko u główki powleczone krepą angielską koloru *mais*; takąż krepą, fantastycznie przekreślaną, tworzy dyadem nad czołem, boki pokryte całe liśćmi bluszczowemi, w pośrodku upięta egretka z bzu lilla. Szarfy do wiązania koloru liści bluszczowych.

Okrągłe kapelusiki, mają w ogólności główki wysokie, stożkowate; rondko u jednych dosyć szerokie, proste, zwężone cokolwiek w tyle, u innych węższe, podniesione w górę z obu stron, u innych znów całkiem odwiniete jak u toczków.

Kolor słomki powszechnie przyjęty szary, *beige*, *hawanna*, *maron*, wiele też widać czarnych. Oprócz słomkowych noszą także okrągłe kapelusiki z czarnego tiulu, ozdobione wielkimi paciorkami dżetowemi. Oto są modele nabyte na magazyn pań Kuhnke:

Pierwszy kapelusik z cienkiej słomki brukselskiej, koloru *beige*, główka stożkowata, rondko proste, dosyć szerokie, z tyłu nieco zwężone, podbite aksamitem koloru mchowego (*mousse*). Na główce, upięte na drucikach trzy wielkie kokardy w trzech kolorach: mchowym, *beige* i blade koralowym, wstążka ma z obu stron drobne ząbki.

Drugi ciemniejszy *Hawanna*, ze słomki grubszej, plecionej *à jour*, podbity aksamitem tegoż koloru. Gruby skręt z krepki angielskiej, przeciągniętej przez główkę, tworzy na przodzie wielki węzeł, wyżej wybiega skrzydełko w dwóch odcieniach: *hawanna* i brązowym. Główka przepięta dwoma wielkimi szpilkami szyldkretowemi.

Trzeci kapelusik czarny słomkowy; rondko odwiniete w rodzaju toczka, podbite aksamitem czarnym, na tym aksamicie zasiane paciorki dżetowe. Denko u główki, również aksamitne, naszyte dżetem. W koło główki opasana szeroka wstążka czarna, zakończona z przodu kokardą. Od tyłu idzie pęk piór czarnych strósich, rzucony na denko, przytwierdzony niewielką kokardą.

Czwarty kapelusik koloru szarego *beige*, rondko szerokie odwiniete z jednej strony, podbite aksamitem oliwkowym. Dwie wstążki w dwóch odcieniach oliwkowych, lekko przekreścone, otaczają główkę do koła. Z boku, w miejscu gdzie podniesione rondo, wpięta egretka z piór strósich oliwkowych, poniżej kokarda ze wstążki w dwóch odcieniach.

Najstrojnější z wszystkich kapelusik czarny, ma główkę wysoką, powleczoną marszczonym tiulem, rondko małe, płaskie, zwężone po bokach. Na tem rondku idą dwa rzędy wielkich pereł dżetowych, bardzo lekkich. Perły te ogromne po nad czołem, zmniejszają się stopniowo po bokach. Całe rondko wraz z perłami pokryte czarnym tiulem. Z boku wpięta wielka kokarda ze wstążki, koloru *mais*, przytwierdzona broszą czarną, szeroką jak ławka od grzebienia.

W ogólności dżety więcej niż kiedykolwiek używane. Zwrócił też uwagę naszą ładny czepeczek dla starszej osoby, z koronki czarnej, nagarniowany w kontrafałdy, każdy kontrafałd przytwierdza ogromna perła dżetowa, rozcięta na pół, przylegająca płasko. Szarfy koronkowe służą do wiązania pod brodą.

Dla młodszych osób, do ubrania głowy, uważaliśmy bardzo zgrabne egretki, ze wstążki, blade koralowej, blade niebieskiej i t. d. Egretka ta składa się z pięciu pukli, podniesionych w górę na drucikach i z pięciu mniejszych, ułożonych u spodu.

Woalki powszechnie przyjęte, w tym samym kolorze jak kapelusze: oprócz tego białe używane będą na lato.

Uważaliśmy także modele bardzo ładnych plastronów, z tiulu czarnego, zahaftowanego dżetem.

Plastrony te kładą się na wierzch stanika i całkiem przód jego pokrywają. Wkoło otoczone są dżetowemi grelotkami, u szyi upięte w pasek naszyty dżetem, spięty w tyle i zastępujący miejsce kołnierzyków. Ładna to i pożyteczna moda.

W przyszłym sprawozdaniu powiemy o modelach sukien, nabytych na magazyn pań Kuhnke, dziś dodamy słówko o wiosennych okrywkach.

W ogólności są bardzo krótkie, roznieśte w tyle. Uważaliśmy jedną z lekkiej wełnianej tkaniny w deseń, bez żadnego garnirunku, z pod otwartego przodu wybiegała kamizelka, a raczej buffa jedwabna, dopełniały ubrania, rzesiste pukle z wstążki czarnej.

Dodajmy tu jeszcze, że kolor lilla wywołany od lat wielu, powraca nareszcie do mody. Noszą go w rozmaitych odcieniach, zaczawszy od bladego do ciemno fioletowego. Szczerze przyklaskujemy tej modzie, tak odpowiedniej na wiosnę i lato.

S. D.

ROZMAITOŚCI.

Sześć miesięcy w pośród Indian. Pulkownik James Stevenson, urzędnik etnologicznego biura w Waszyngtonie wrócił niedawno z sześciomiesięcznego pobytu wśród Indian w Arizonie, przywiózł do Waszyngtonu mnóstwo ciekawych przedmiotów i ogłosił niektóre szczegóły swej podróży w dziennikach amerykańskich. Owóż dowiadujemy się ztąd, że podróżując wraz z żoną i kilkoma czerwonoskórymi zszerepu Navajoes, pośród osad Pueblów i Maquisów (plemię dotychczas prawie nieznanne), był wszędzie bardzo uprzejmie przyjmowany. Tylko w jednej największej wsi Pueblów, liczącej 850 mieszkańców, omal że źle się z nim nie skończyło. Kiedy podróżnicy chcieli dostać się po drabinie na dach mieszkania kacyka, zbiegł się tłum wzburzonych mieszkańców. Jeden olbrzymiej postaci Pueblo wzywał innych, ażeby zamordowali obcych; wielu z tłumu poczęło się nawet gotować do dzieła. Ale podróżników ocaliły przytomność umysłu kobiety. Pani Stevenson oceniwszy grozę sytuacji i budując nadzieje na znanem tchórzostwie Indian, przystąpiła do prowodyra, a przytknąwszy mu dłoń w kulak zaciśniętą pod nos, krzychała nań w sposób niesłychanie gwałtowny po angielsku i hiszpańsku. Indianin, jakkolwiek nie z tej przemowy nie rozumiał, zląkł się gwałtownego jej tonu i zwinął chorągiewkę. Tłum poszedł za jego przykładem, podróżni zdołali bezpiecznie powrócić do swoich wozów, a jakkolwiek czeredy wrzeszczących mężczyzn, kobiet i dzieci postępowały za towarzystwem, nikt przecież z nich nie śmiał rzucić się na uchodzących, mając widocznie respekt przed białą kobietą.

Z PRASY HUMORYSTYCZNEJ.

Widnokrag polityczny, powiada Kurjer Świąteczny, zaczyna się znowu zaciemniać. Serb Jokiszanin, sprzedający pantofle przed ratuszem od kilku dni przysunął się bliżej do austriackiego składu obuwia na placu teatralnym, grek zaś Maurokordati, całkiem się przeniósł ze swemi gąbkami na skwer vis-a-vis składu kawioru. Podejrzewają niektórzy, iż przyczyną do ruszenia się z miejsc przez nich zajmowanych było błoto, ale nie trzeba temu zbyt wierzyć.

Pokalożerze narady w Berlinie już dochodzą do śmieszności.

Raz po zamknięciu rozpraw, deputowany Tiedeman rzekł:

— Pan Kantak gdy mówił o pokalożerach, że jak byki rzucają się na czerwony gałgan, spojrzał wyraźnie na mnie.

— Spojrzenie — odezwał się Prezydent — nie upoważnia pana do osobistej uwagi.

— Mówiąc to — odezwał się Kantak — wyraźnie oświadczyłem, że na myśli nie mam nikogo z obecnych. Wreszcie ponawiam zapewnienie, że pana Tiedemana nie uważam wcale za byka.

— Ani ja pana Kantaka za czerwonego gałgana — odrzekł Tiedeman, wywołując powszechną w izbie weselość.

Kiedy zatwierdzono fundusz na wywłaszczenie Polaków w Poznańskim, następcą tronu niemieckiego dowiedziawszy się, że księcia Radziwiłła okradziono, rzekł:

— Oto pierwsze wywłaszczenie Polaków z ich własności.

Jeden z deputowanych, przeciwny bezprawiu przeciw Polakom, przyszedłszy na posiedzenie rzekł do zgromadzonych koło niego kolegów:

— No, panowie, przychodzę do was z wybornemi wieściami. Skutki pieczołowitego patryotyzmu pana Bismarka zaczynają się już objawiać, bo doszła wiadomość, że stu właścicieli niemieckich oświadczyło się z gotowością sprzedania swych majątków w Poznańskim na cele kolonizacyjne, z Polaków zaś ani jeden. Nadto uznanie szlachetności Niemców, coraz się bardziej rozszerza, bo w tych dniach wstrzymano transport śledzi do Królestwa, z tego jedynie powodu, iż rozgłoszono wieść w Gostyńskim, że wszystkie śledzie od niemieckich sprowadzane handlarzy... są zatrute. Ludność uwierzyła, kupno naraz jeden ustało, czem przestraszeni handlarze zwrócili się z żądaniem do Hamburga i Anglii. A cóż panowie, czyż patryotyzm pruski nie tryumfuje?

Żarty w tym kierunku sypią się jak z rękawa. Kurjer Świąteczny donosząc, że podobno jakiś Niemiec zakłada w naszym mieście fabrykę kluczyków i kluczy do nakręcania zegarków i zegarów, robi uwagę: cóż u licha! czyż już nas Niemcy, ciągle nakręcać będą?

W dalszym ciągu, donosząc, że jakiś korespondent zagraniczny rozchorowawszy się szpetnie po stokfiszu w handelku warszawskim, przypisał to wyłącznie naszej intrydze. Ależ panie korespondencie, powiada reflektując go, sama nazwa *stokfisz*, jasno wykazuje, że w rybie tej nie ma ani jednej litery naszej intrygi.

Obelga czy komplement? Aktorka londyńska p. Abrams zaskarżyła przez niedawnym czasem krytyka Hudson, z powodu, iż w sprawozdaniu o nowej jakiejś sztuce napisał:

„Pani Abrams przypomina wykopaliska profesora Schliemana, jest prawdziwym antykiem.”

Sędzia napróżno usiłował uspokoić wzburzoną artystkę, twierdząc: „Że najlepszym dowodem jak cenne są wykopywane przedmioty jest wysoko płacona za nie cena.” „Tak, odparła gniewnie artystka, ale szersza publiczność nie składa się z badaczy starożytności, a od czasu owej krytyki dostaje codziennie bezimienne listy, w których zapytują mnie: „Czy posiadam łacińskie napisy”, albo wyrażają zdziwienie: „że całość jest tak dobrze zachowana i t. d.” Nakoniec poważnione strony pogodziły się i nazajutrz Hudson napisał w swoim dzienniku: „Jak się dowiadujemy, znakomita nasza artystka, pani Abrams, obchodzić będzie wkrótce ośmnaścieletnią rocznicę swoich urodzin.

Wszystkie dzieci i wnuki przyjmą udział w uroczystości.

Na zakończenie jeszcze jedna humorystyczna wiadomość już wyłącznie naszego grodu dotycząca.

Pewien właściciel restauracji na Krakowskim Przedmieściu, dla przywabienia gości sprowadził kapelę, której członkowie są ubrani w włościańskie sukmany, kowane pasy i mazurskie czapki.

„Kmiotkowie” w rozmowie posługują się... żargonem używanym przez izraelitów.

Jak się okazało, pomysłowy restaurator zawezwał żydków ze Lwowa i Warszawy, którzy ukostyumowani odpowiednio, reprezentują wieśniaków...

W danym razie niepodobna jadłodawcy odmówić pomysowości.

Śmieszna jest ona cokolwiek, ale dowcipna, dająca wielki dowód sprytu wiedzących w co mierzyć i gdzie uderzyć. Zawsze to lepsze jak maskarada z wzorów Indów lub Magolów ułożona.

Odpowiedzi od Redakeyi.

Pani Natalii. Komedya była zbyt skandaliczną, drukowanie jej więc było niepodobne. Wina ciąży na tłumaczu złego wyboru. Korespondencje o ubiorach z Paryża, nadsyła stale od lat kilkunastu pani Seweryna Duchńska, a materyały do nich potrzebne zbiera z różnych magazynów do których wstęp jako korespondentce Tygodnika Mód bardzo chętnie jest dozwolony. Adres: Madame Duchńska a Paris, Boulevard St. Michel N. 54.

Słyszac bardzo dużo pochwał, oddawanych, przez rodziców, dzieci i sąsiadów, p. Florentynie Cywińskiej, z domu Kostrowickiej, za umiejętność kierowania dziećmi, rozwijania ich umysłowo i moralnie, w przejeździe przez Warszawę, czytając anonse w Kurjerze, który opiewa tam stancję dla panien kształcących się, jeżeli tylko pani F. Cywińska, zamieszkała w Warszawie na Hożej 26—7, jest z domu Kostrowicka, w takim razie głos sumienia starej kobiety nakazuje polecić ją szanownej publiczności.

K. Czerwińska.

Fabryka kwiatów i liści Wandy Siwińskiej

otworzona w Paryżu w roku 1871, obecnie przeniesiona do Warszawy, Krakowskie Przedmieście N-r 65.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 15 wyszedł z druku i zawiera:

Gawędka brata z siostrą. — Pierwszy fiolek (wiersz). — Opowiadanie z przeszłości. — Chłopiec maziara. — Pomnik dla poległych w Belforcie (drzeworyt). — Grzbietoród Amerykański (z drzeworytem). — Pobyt w Gabonie (z drzeworytem). — Kapitan Ferragus. Dodatek: Czarna ciocia. — Kwiatki bez zapachu (wiersz). — Podwójni głuptaski (z drzeworytem). — Staś (wiersz). — Gadułka.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.